

Grey Scale #13



Part Code  
ST1316

DANES  
-PICTA  
.COM

A

1

2

3

4

5

6

M

8

9

10

11

12

13

14

15

B

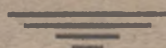
17

18

19

ZYGMUNT ŁEMPICKI  
PROF. UNIWERS. J. PIŁSUDSKIEGO W WARSZAWIE

# Kryzys inteligencji a potrzeby życia



W A R S Z A W A, 1 9 3 8 R O K

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

3/Color

Black

Centimetres

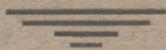
Colour Chart #13

DANES  
-PICTA  
.COM

**ZYGMUNT ŁEMPICKI**

PROF. UNIWERS. J. PIŁSUDSKIEGO W WARSZAWIE

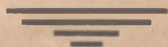
# **Kryzys inteligencji a potrzeby życia**



W A R S Z A W A,      1 9 3 8      R O K

**ZYGMUNT ŁEMPICKI**  
PROF. UNIWERS. J. PIŁSUDSKIEGO W WARSZAWIE

# **Kryzys inteligencji a potrzeby życia**



W A R S Z A W A,      1 9 3 8      R O K

304

Odbitka z czasopisma  
„Drogi Polskie” R. I.

46874 | 2

Słyszy się dziś narzekania w Polsce i poza Polską na dziwną, bardzo dziwną dysproporcję. Z jednej strony inteligencja pracująca cierpi jeszcze na skutek bezrobocia, z drugiej strony daje się odczuwać w różnych dziedzinach, a zwłaszcza w dziedzinie technicznej, brak fachowców. Ta sytuacja, wydawałoby się paradoksalna, ma jednak głębsze a nawet bardzo głębokie podstawy. Jest z jednej strony wynikiem ewolucji, nawiązującej do dziedzictwa wieku poprzedniego, z drugiej strony symptomatycznym objawem obecnej sytuacji i wysiłków, widocznych we wszystkich dziedzinach i kierunkach w poszukiwaniu nowej równowagi. Dysproporcja ta, która, ostatnio zwłaszcza, zaczyna i w Polsce stanowić temat ożywionej dyskusji, wymaga nieco szerszego rozpatrzenia. Okaże się wtedy, że mamy tu do czynienia z punktem przecięcia się linii różnych tendencji i prądów.

## I.

Tradycja t. zw. inteligencji wieku XIX stała się zarazem przyczyną jej tragedii w wieku XX.

Inteligencja stała się w wieku XIX warstwą społeczną. Zagadnienie to omówiłem bliżej w rozprawie p. t. „Oblicze duchowe wieku XIX” w czasopiśmie „Kultura i wychowanie” (R. I. zesz. 1) oraz w rozprawie p. t. „Problemat inteligencji” w czasopiśmie „Marchoń” (R. I, zesz. 2). Wraz z postępem przemysłu, rozwojem kapitalizmu, wzrostem dobrobytu zaczęła dochodzić do głosu nowa klasa społeczna, „nowi panowie” owego wieku. Jeśli do połowy mniej więcej wieku XIX ludzie pracujący umysłowo stanowili rodzaj elity, później stali się oni warstwą. Zaczęła powstawać inteligencja jako warstwa społeczna. Warunkiem dostania się do tej warstwy było uzyskanie dyplomu, już nie szlacheckiego, ale akademickiego. Więć przede wszystkim matura, świadectwo dojrzałości. Człowiekowi

X który nie miał matury, można było odmówić satysfakcji honorowej. Tak ściśle w mentalności ówczesnych ludzi zaczęło się łączyć pojęcie uzyskania pewnego dyplomu, stanowiącego pierwszy warunek wejścia do pewnej klasy, z poczuciem stanowości czy też kastowości. Do sfery t. zw. inteligencji wchodziło się więc dopiero na zasadzie uzyskania stopnia akademickiego czy też poprostu ukończenia jakiejś szkoły akademickiej. Synowie zamożnych ojców, którzy pracą rąk własnych, genjalnością swoich pomysłów i śmiałością swojej energii dorobili się fortuny, studiowali w szkołach akademickich nie zawsze dlatego, ażeby kontynuować dzieło ojców, ale poprostu dlatego, ażeby zdobyć sobie pewną sytuację towarzyską. To stało się jedną z przyczyn przepełnienia i przeludnienia szkół akademickich, a proces ten systematycznie i powoli czynił coraz większe, a później nawet już wręcz zastraszające postępy. Groza sytuacji polegała na tem, że do szkół akademickich, a przede wszystkim na pewne wydziały pewnych szkół zaczęła się zapisywać tłumnie młodzież bynajmniej nie w celu studiowania, nie z zamiłowania do przedmiotu, ale wyłącznie tylko celem uzyskania dyplomu, który stanowił o przynależności do owej warstwy społecznej. Oczywiście nie był to jedyny motyw. W wielu społeczeństwach z uzyskaniem tego dyplomu połączone było otrzymanie takiej czy innej posady, zwłaszcza rządowej. Następstwem tego rozwoju stało się, iż szkoły akademickie zaczęły powoli przemieniać się w fabryki dyplomów. Uzyskanie takiego dyplomu udawało się jednemu łatwiej, drugiemu trudniej, ale ostatecznie jeden zdawał egzamin raz i ledwo przelazł, inny zdawał egzamin po dwa i trzy razy i wreszcie dyplom uzyskał. W ten sposób kształtowało się to zjawisko, które zwykło określać się mianem hiperprodukcji inteligencji. W gruncie rzeczy nie była to wcale hiperprodukcja ludzi inteligentnych, przygotowanych do zajęcia takich stanowisk, jakie przyspaść powinny ludziom o pewnym poziomie inteligencji, ale produkowanie wielkiej i coraz większej ilości miernot, zaopatrzonych w dyplomy a przeważnie niewykwalifikowanych i niezdolnych do zajmowania żadnego odpowiedzialnego stanowiska.

Ten stan rzeczy uległ jeszcze po wojnie dość poważnemu pogorszeniu z różnych przyczyn i powodów.

Młodzież, która poszła na wojnę, uzupełniała następnie w drodze skróconych studiów swoje braki i uzyskiwała patenty i dyplomy w sposób ułatwiony. To niewątpliwie przyczyniło się jeszcze bardziej do obniżenia poziomu dyplomów i dyplomowanych. Warunki życia stawały się po wojnie trudne i coraz trudniejsze. We wszystkich dziedzinach życia zaczęły występować zagadnienia niezmiernie trudne i skomplikowane. Tembardziej pokazywało się, że ludzie, którzy przygotowali się do zawodów i zajęć

w trybie przedwojennym — a w gruncie rzeczy nie zmieniło się nic pod tym względem — nie mogli podołać obowiązkowi swojego zawodu. W nauce przecież także dokonały się niespodziewane przewroty i zaznaczył się bardzo poważny postęp w całym szeregu zastosowań. Wszystko to wymagało dość znacznej energii umysłu w opanowaniu nowych sytuacji i nowych zagadnień. Jedynie gruntownie przygotowane i nieprzeciętne pod względem umysłowym jednostki mogły tym zadaniom podołać.

W szerszych warstwach społecznych zaczęło występować po wojnie coś w rodzaju nieufności do inteligencji, gdy pokazało się, że uzyskane dyplomy bynajmniej nie są gwarancją odpowiedniego przygotowania do zawodu. Pozostawało to w ścisłej łączności z prądami politycznymi a poniekąd także społecznymi, które w szeregu krajów zdobywały sobie uznanie, a polegały na tym, że wyznaczono na cały szereg stanowisk odpowiedzialnych nie ludzi z przygotowaniem fachowym, gdyż ono bardzo zawodziło, ale ludzi dzielnych i zaufanych, na których można było polegać, że wywiążą się z powierzonych im zadań. Odnosiło się to oczywiście przede wszystkim do różnych stanowisk w służbie rządowej i nie było przecież czymś tak zupełnie nowym i nieznanym. Przecież już z końcem w. XIX Emil Faguet ogłosił swoją sławną książkę o kulcie niekompetencji, w której wywodził, że demokracja ten kult rozwija i podtrzymuje. Faguet konstatował raczej fakt znany powszechnie, jeśli stwierdził, że w systemie demokratycznym na stanowiska odpowiedzialne w państwie, a więc na stanowiska ministrów i członków rządu dostają się ludzie nieprzygotowani fachowo do kierowania resortami, na których czele przyszło im stanąć. Jego świetne studium da się w pełni zastosować do stosunków, które panują w systemach totalnych, gdzie przecież także nie przygotowanie fachowe, ale zaufanie wodza lub przynależność do elity czy partii, mającej monopol, decyduje o zajęciu stanowiska. Nie da się zaprzeczyć, że ten fakt działał poniekąd ostudzająco na zapal młodzieży do studiów. Gdy młodzi ludzie widzieli, że na stanowiska, wymagające nieraz wybitnie fachowego wykształcenia, dostają się jednostki nie posiadające żadnych fachowych kwalifikacji, mogło to raczej od studiów odstręczać, aniżeli do nich zachęcać.

Weszliśmy tedy w czasie powojennym w pewien okres, któryby można określić mianem zmierzchu fachowości.

Upadek autorytetu fachowości był zarówno obiektywny jak i subiektywny. Obiektywny był on w tym sensie, że wojna i okres powojenny, zarówno w życiu jak i w nauce, wyłoniły cały szereg niezmiernie trudnych i skomplikowanych zagadnień, do których rozumienia i rozwiązywania przygotowane było zaledwie tylko bardzo szczupłe grono wybit-

nych i najwybitniejszych jednostek. Sowiecki kult „specy” jest mimowolnym poniekąd przejawem tego stanu rzeczy, choć oczywiście w Sowietach ogólny poziom umysłowy przeciętnej warstwy pracującej był i jest o wiele niższy niż na Zachodzie. Z jednej więc strony stało grono ludzi wybitnych bądź to w polityce, bądź w nauce czy technice, którzy widzieli zagadnienia, przykładali rękę do ich rozwiązania, ale patrzyli niemal bezradnie na możliwość realizacji wielkich i poważniejszych planów wobec braku odpowiednio przygotowanych sił fachowych. Nowe sytuacje wymagały przecież nowego typu umysłów a w każdym razie pewnego ich poziomu. Z drugiej strony stały ze zrozpaczoną miną wielkie gromady dyplomowanej i bezrobotnej t. zw. inteligencji, nieprzygotowanej przeważnie do nowych warunków i do nowych zadań. Nie można twierdzić, że ta dysproporcja była wynikiem kryzysu. Wprost przeciwnie, wolno przypuszczać, że w wielu wypadkach była ona jedną z przyczyn kryzysu. Temu zjawisku towarzyszył subiektywny zmierzch fachowca, to znaczy zataczające coraz szersze kręgi przekonanie o małej wartości fachowców do spełniania odpowiedzialnych zadań i towarzyszący temu nastrój beznadziejności wśród młodzieży oraz przekonanie o pewnej bezsensowności studiów fachowych. Zaiste tragiczne nieporozumienie.

Życie jednak okazało się silniejsze niż tego typu nastroje.

Walka z kryzysem stała się dla różnych społeczeństw bardzo cenną i twardą szkołą a kiedy po wyjściu z kleszczy kryzysu w różnych ośrodkach, zwłaszcza anglosaskich i do nich zbliżonych, zaczęło pulsować tętno nowej koniunktury, zagadnienie nowego człowieka, nowego pracownika, nowego fachowca, przystosowanego do nowych zadań i wymagań życia, zaczęło stawać się z każdym dniem niemal coraz bardziej aktualne. Ze sceny życia zaczęły schodzić, oczywiście powoli zastępy przedstawicieli starej inteligencji i starych fachowców a pokazało się, że w rezerwoarach nie ma nowych zapasów. Powstała sytuacja analogiczna na rynku ludzkim, na rynku pracowniczym do sytuacji, która zaistniała przez czas jakiś na rynku surowców i towarów. W okresie kryzysu zastosowano cały szereg ograniczeń w dziedzinie produkcji i pokazało się, że magazyny są już właściwie puste i trzeba było na gwałt je wypełnić. Kryzys podziałł równie niszcząco na materiał ludzki. Okres kryzysu odebrał młodym ludziom nadzieję uzyskania stanowisk i posad i dlatego powstrzymał kształcenie i doksztalcenie koniecznych dla nowego życia, zwłaszcza gospodarczego, sił fachowych. Dodać nadto należy, że jedną z okoliczności, która niewątpliwie przyczyniła się do przełamania kryzysu a zarazem ujawniła w sposób bardzo jaskrawy brak fachowców i na rozwój koniunktury miała wpływ niezmiernie doniosły, to nowy wyścig zbrojeń. Z tym

pozostaje w łączności nie mniej charakterystyczny objaw dla okresu lat ostatnich, tj. tendencja autarkiczna. Zastąpienie braku surowców fabrykacją sztucznych zamiastek wymaga szczególnie wybitnych fachowców. Z tych i z innych względów Niemcy są dziś jednym z krajów, w których brak sił fachowych jest przejawem ze wszech miar charakterystycznym.

Warto więc nieco bliżej przyjrzeć się sytuacji, jaka w tej dziedzinie kształtuje się w Niemczech.

## II.

W Niemczech istniały przed wojną liczne fabryki dyplomów, a zwłaszcza doktoratów na wydziałach prawa i filozofii. Nie da się jednak zaprzeczyć, że poziom szkół akademickich w Niemczech był naogół przed wojną i dłuższy czas jeszcze po wojnie bardzo wysoki. Trzeba także przyznać, że Niemcy po wojnie stosunkowo szybko przystosowali się do nowych warunków i zrozumieli rychlej może niż inne narody potrzebę kształcenia i szkolenia na innych zasadach nowego pokolenia. W Niemczech już przed wojną głośno rozbrzmiewało hasło pokonania sprzeczności pomiędzy nauką i życiem i zbliżenia szkoły, także i akademickiej, do potrzeb życia. Może jednak ten „witalizm” przyczynił się pośrednio do obniżenia studium w różnych dziedzinach.

Stosunki, jakie wytworzyły się w Niemczech, zasługują na uwagę przede wszystkim z ogólnoteoretycznego punktu widzenia, ponieważ Niemcy z natury swojego charakteru zaraz się nad wszystkim zastanawiają i usiłują dojść do pewnych ogólniejszych wniosków. Mają jednak te stosunki i pewną wymowę praktyczną, boć przecież z Niemcami sąsiadujemy i z różnych względów, między innymi także i gospodarczych, nie jest dla nas obojętne, co się w tym kraju dzieje. Na temat tedy braku sił fachowych czytać można było ostatnio szereg artykułów na łamach „Frankfurter Zeitung”, która jest najbardziej zbliżona do sfer gospodarczych. Również w emigracyjnym tygodniku „Das neue Tagebuch” z dnia 25 września b. r. ukazał się anonimowy artykuł, który tylko z pewnym złośliwym komentarzem podaje i omawia fakty dyskretnie podawane już do wiadomości także i przez prasę niemiecką. Obraz stosunków niemieckich, jaki możnaby sobie wyrobić na podstawie tego przedstawienia stanu rzeczy, wyglądałby mniej więcej tak.

W czasopiśmie „Der Vierjahresplan” t. j. miesięczniku, który poświęcony jest omówieniu zagadnień związanych z realizacją zainaugurowanego przez Goeringa planu czteroletniego, wyliczono ostatnio, że przemysł

niemiecki cierpi na skutek gwałtownego braku inżynierów. Wedle wyliczeń, które poczynił dr. C. Krauch z urzędu surowcowego, brakuje w tym roku tylu inżynierów, ile wedle wyliczeń generalnego dyrektora Riebe wynosił nadmiar ich roczny w roku 1932. Brakuje 5.000 inżynierów. Wedle wyliczeń dr. Kraucha w roku 1942, a więc w tym roku, w którym czterolatka Goeringa miałaby być skończona, brak inżynierów wynosiłby 30-35.000 sił. Byłby to oczywiście brak bardzo poważny. Wywody te wyszły z pod pióra człowieka, który zajmuje w przemyśle niemieckim stanowisko bardzo poważne i obchodził właśnie jubileusz 25-letniej pracy na stanowisku dyrektora Badeńskich Fabryk Aniliny i Sody. Jest on nadto senatorem „Akademii Cesarza Wilhelma”, t. j. tej instytucji, która rozstrząsa pieczę nad rozwojem nauki w Niemczech. Jego więc wywody, opublikowane zresztą na łamach prasy wychodzącej w Niemczech, zasługują na pełne zaufanie.

W świetle tych wywodów wyglądałoby tak, że czteroletni plan Goeringa, mający Niemcom zapewnić zupełną niezależność gospodarczą i zupełną autarkię, rozbić się może bardzo łatwo o brak ludzi. Jest to zagadnienie, któremu wiele już poświęcono uwagi, podkreślając przede wszystkim tę okoliczność, niezmiernie ważną i doniosłą, że, gdyby Niemcy w czasie wojny chciały się urządzić autarkicznie, to ich przemysł namiastkowy pochłoniąłby tyle tysięcy ludzi, że siła zbrojna ich narażona byłaby na skutek tego na zgoła dotkliwy szwank. Odpowiednie wyliczenia poczynione już przez krytyków niemieckiej autarkii, zwłaszcza w dziedzinie przemysłu namiastek surowcowych nie pozostawiają co do tego zagadnienia żadnej wątpliwości. Gdyby chcieć, w pewnym skrócie przedstawić sytuację Niemiec, to możnaby ją w pewnej formie, która brzmi napozór paradoksalnie określić tak. Niemcy mają wielkie trudności z przygotowaniem wojny, albowiem ich aparat wojskowy i partyjny pochłania tyle ludzi, iż nie tylko realizacja dumnych i górnych planów autarkicznych narażona jest na szwank, ale poprostu normalne funkcjonowanie życia gospodarczego. Trzeba bowiem zważyć, iż pomimo rocznego przyrostu, jaki dziś w Niemczech wynosi wedle obliczeń neutralnych 900.000 ludzi, brakuje dla normalnego funkcjonowania życia gospodarczego w Niemczech 2 miliony ludzi, których pochłania armia, organizacje partyjne i cały szereg różnych partyjnych urzędów. To jedna strona medalu. Tak jest teraz w czasie pokoju. W czasie wojny musiałoby się pokazać, że produkowanie namiastek i zaspokojenie potrzeb przemysłu wojennego przy pomocy metod stosowanych obecnie w Niemczech, musiałoby wywołać poważne braki ilościowe armii. Nas ten drugi problem, który jest niejako tylko dopełnieniem paradoksu, nie interesuje. Natomiast pierwszy, pozo-

stający w najściślejszej łączności z aktualnym brakiem sił fachowych, wymaga bliższego rozpatrzenia. Oczywiście z góry wypadnie zaznaczyć, że nie jest to jedyny powód tego braku, ale niewątpliwie jeden z ważniejszych.

Wedle wywodów dr. Kraucha ilość studentów na niemieckich politechnikach spadła z roku 1930 na rok 1935 do połowy. Dziś już brak jest w tych szkołach także profesorów i asystentów. Następstwem tego jest, jak wywodzi dr. Krauch, że wyniki egzaminów absolwentów w szkołach akademickich i zawodowych wykazują poważne obniżenie poziomu. W roku 1932, t. j. w tym roku, w którym Hitler doszedł do władzy, studiowało na niemieckich politechnikach 25,167 studentów, w semestrze zimowym roku 1935 było ich już tylko 11,796. Spadek na uniwersytetach był stosunkowo mniejszy. Trzeba nadto uwzględnić, że w okresie restauracji gospodarczej Niemiec zawód inżynierski posiadał przecież dla młodego Niemca szczególną siłę atrakcyjną. Przyczyny tego zjawiska należy szukać przede wszystkim w tym, że studenci, którzy rozpoczęli swoje studium na politechnikach, zamiast je kończyć, woleli odrazu przejść do innego zawodu, który im dawał natychmiast zgoła poważne szanse w zakresie kariery i zarobku. Pozostaje to w najściślejszym związku z przemianą Reichswehry w Wehrmacht, czyli z przywróceniem przez Hitlera armii niemieckiej. Potrzebowano młodych ludzi, posiadających jakie takie przygotowanie techniczne do nowych typów broni, a więc do lotnictwa, do grup zmotoryzowanych, do artylerii, no i oczywiście także do marynarki. Reichswehra miała w roku 1932 — 4.000 oficerów. Wehrmacht nie ma ich zapewne mniej niż miała armia cesarska w roku 1913, która rozporządzała liczbą 34.000 oficerów. Dodać nadto trzeba, że dzisiejsza armia potrzebuje o wiele bardziej wykwalifikowanego pod względem technicznym personelu. Już choćby samo lotnictwo wymaga specjalistów w najrozmaitszych działach do meteorologii włącznie. Tak tedy zapotrzebowanie wojskowe sił technicznych, spowodowało bardzo poważny ich brak, ponieważ młodzi ludzie, którzy te studia ukończyli, woleli przejść do służby wojskowej, tym bardziej, że jest ona w Niemczech otaczana nimbem specjalnej czci. Ażeby zapewnić odpowiedni dopływ sił do wojska czy też do szkół przygotowujących do stanu oficerskiego, wprowadzono w roku 1937 uproszczone egzaminy dojrzałości, skracając naukę w szkołach średnich o jeden rok. I ten sam dr. Krauch, który narzeka, iż poziom egzaminów, a raczej egzaminowanych tak bardzo spadł w niemieckich szkołach politechnicznych, proponuje, ażeby, celem zapobieżenia brakowi inżynierów, skrócić studium o jeden rok. Wątpliwe czy to wiele pomoże, bo przecież skądinąd wiadomo, że zapotrzebowanie oficerów i podoficerów jeszcze przez kilka

lat nie będzie pokryte. Więc skąd wziąć fachowców do przedsiębiorstw, skąd siły naukowe i kandydatów na nie?

Wobec tej sytuacji wystąpił dr. Krauch z apelem do młodzieży, by szła na front nauki. W związku z tem ukazało się w dniu 24 sierpnia oficjalne oświadczenie rządu, w którym czytać można było co następuje: „Krzyk o przepełnieniu szkół akademickich i przestrogi przed studium akademickim doprowadziły we wszystkich dziedzinach do wprost przeciwnych wyników. Brak jest w szkołach akademickich profesorów, a przede wszystkim asystentów. Człowieka nauki a zwłaszcza przyrodnika uważa się za jakiegoś zdziwaczałego samotnika. Wszystkie urzędy i organizacje muszą jednomyślnie pracować nad tem, ażeby zapobiec zaniedbaniu zawodów przyrodniczych i technicznych”. Niewątpliwie w okresie rządów narodowo-socjalistycznych wzięła górę pogarda dla ludzi nauki, pracujących w laboratoriach, nad dawnym kultem dla nich, tak bardzo charakterystycznym dla Niemiec. Ale i to jeszcze nie główna przyczyna braku fachowców, który się daje w Niemczech tak dotkliwie odczuwać. Główną przyczyną jest właśnie to, iż młody człowiek, który widzi szanse zrobienia kariery w partii czy też w armii, woli iść na to stanowisko, gdzie ma byt zapewniony i gdzie raczej może innym rozkazywać, aniżeli do zawodu wolnego czy też do przemysłu, gdzie się ciągle musi czegoś obawiać. Otwiera się przecież zresztą także jeszcze i w Niemczech przed tym młodym człowiekiem bardzo wygodna kariera urzędnicza.

Wiadomo, że rządy autorytatywne o zakroju totalnym z natury rzeczy powiększają liczbę urzędników, skoro powoli przecież wszystko ma być w dyspozycji rządu. I w Niemczech też liczba urzędników doznała bardzo poważnego przerostu, który oblicza się od roku 1932 na 10%. Otworzono przecież cały szereg nowych urzędów, zarówno państwowych jak i partyjnych, które dzisiaj dają nietylko pewny dochód, ale i swobodę działania oraz poczucie wolności. Brak zresztą sił wykwalifikowanych daje się odczuwać nietylko w przemyśle, ale i w różnych innych dziedzinach, nawet i tam, gdzie przyjmuje się ludzi nie na podstawie ich kwalifikacji, lecz przynależności do partii lub stosownie do stopnia zaufania jakim się cieszą. Czytamy w „Frankfurter Zeitung” z 16 września b. r.: „Brak nauczycieli, który dał się ostatnio dotkliwie we znaki w szkole powszechnej i zawodowej, daje się obecnie zauważyć także i w szkołach t. zw. technicznych. Rezerwuar ubiegających się o stanowisko nauczycielskie w t. zw. szkołach technicznych wyczerpał się i zapotrzebowanie nie może być pokryte. Nie ma w tej dziedzinie żadnego przyrostu, ponieważ kształcenie tych sił zostało zupełnie zahamowane”. Te szkoły „techniczne” były niewątpliwie szczególną chlubą szkolnictwa niemieckiego, przygotowywa-

ły one wykwalifikowanych majstrów i robotników specjalistów. Obok braku personelu na stanowiskach kierowniczych w dziedzinie technicznej, brak jest właśnie też i robotników.

W bardzo charakterystycznym artykule, który ukazał się znowu na łamach „Frankfurter Zeitung” w dniu 20 sierpnia b. r. znajdujemy wywody dyrektora wielkiego przedsiębiorstwa elektrotechnicznego. Stwierdza on, że w swojej zakładzie ma on 600 robotników, wykwalifikowanych mechaników i metalowców, którzy przebyli okres 3-4 letniej praktyki i złożyli nienagannie egzamin na majstrów. W czasie największego pogłębienia kryzysu, nie mogli jednak pracować w swoim fachu, lecz byli zajęci jako zwykli robotnicy przy maszynach. Obecnie 60 najlepszych z pośród nich zajęto w ich dawnym fachu jako dobrze płatnych wykwalifikowanych robotników. W krótkim jednak czasie owych 60 wybrańców zgłosiło się do swojego kierownika, z prośbą, iż pragną wrócić na owe stanowiska gorzej płatne, ale też wymagające mniej przygotowania. Słusznie wnioskując ów dyrektor, że świadczy to, jak małą jest liczba tych robotników, którzy zdolni są dziś w Niemczech podjąć się pracy wymagającej jakiegoś wysiłku myślowego. Dochodzi on do konkluzji, że uzdolnienie ponad miarę przeciętności jest o wiele rzadsze niż tego wymaga dzisiejszy stan techniki. Tego rodzaju skargi słyszy się zresztą ze wszystkich stron w dzisiejszych Niemczech i nie tylko w Niemczech. Bo tak jak dawnych studentów politechniki kusi dziś przede wszystkim karjera oficerska, tak dla majstrów i kandydatów na majstrów otwierają się o wiele lepsze perspektywy w stanie podoficerskim.

Tak się dzieje w Niemczech, gdzie ten brak sił w związku z czterolatką rozreklamowaną przez propagandę określa się jako jakąś wielką i groźną klęskę. Ale z podobnymi objawami spotykamy się też i w krajach skandynawskich, a przede wszystkim w Szwecji, gdzie też przez czas jakiś w ponurych barwach przedstawiano przyszłość młodzieży kończącej szkoły akademickie, a dzisiaj daje się tam zauważyć, np. w branży hutniczej i metalowej brak fachowców. Podobne wiadomości przychodzą także i ze Stanów Zjedn. Nie da się zaprzeczyć, że lata kryzysu działały tutaj w sposób bardzo zniechęcający na młodych ludzi i odstraszały ich od studiów fachowych. Jednak ta przyczyna zagadnienia tego jeszcze dostatecznie nie wyjaśnia. Ma ono niewątpliwie różne podłoże w różnych krajach, zależnie nie tylko od sytuacji gospodarczej, ale także od społecznej i od politycznej. Ma więc w Niemczech podłoże zupełnie specyficzne. W innych krajach nie ma oczywiście takich zjawisk jak w Niemczech, ale niewątpliwie i w Polsce możnaby wykazać, że pewien pęd do zurzędniczenia, t. zn. do szukania posad w urzędach i do tworze-

nia coraz to nowych posad urzędników państwowych podziałął raczej demoralizująco na młodzież, otwierając przed nią perspektywy szybkiego i łatwego zarobku, przeważnie bez fachowego przygotowania.

Przykład Niemiec wybrany tu został jako szczególnie charakterystyczny. W Niemczech też, gdzie ten objaw braku sił fachowych wypadł właśnie na okres bardzo wielkiego natężenia sił gospodarczych, najwcześniej i najgłośniej uderzono na alarm i zaczęto się też teoretycznie zastanawiać nie tylko nad przyczynami zjawiska, ale i nad sposobami zapobieżenia brakowi fachowców. Jest to zagadnienie aktualne także i w Polsce, więc wypadnie z kolei zastanowić się nad sposobami walki z tym zjawiskiem, któremu poświęcono ostatnio sporo rozważań.

### III.

Jeśli w omawianiu zagadnienia, stanowiącego temat niniejszych rozważań, poświęcono więcej uwagi sytuacji w Niemczech, to między innymi także i dlatego, że proces, o którym mowa, wystąpił tam w formie szczególnie jaskrawej. Kryzys inteligencji przybrał w Niemczech charakter osobiwy na skutek tego, iż przemienił się w pewnego rodzaju niechęć czy też nienawiść do warstwy zwanej inteligencją, z drugiej zaś strony nabrał charakteru zmagania się irracjonalizmu z intelektualizmem starożytności.

Walka z t. zw. inteligencją ma w społeczeństwach o ustroju totalnym lub do niego zbliżonym uzasadnienie w tym, iż warstwę tę uważa się za skłoną raczej przede wszystkim do krytyki i negacji, nie zaś do ślepego posłuszeństwa wobec nakazów mężów opatrzeniowców, czy też wodzów narodu. Reakcja irracjonalna jest charakterystycznym przejawem duchowości powojennej, czy współczesnej. „Przeżywamy okres bezprzykładnego rozrostu irracjonalizmu” — stwierdza L. Chwistek w swojej książce p. t. „Granice nauki”. Opowiadają, że kiedy przed kilku laty zgłosił się do Hitlera jeden z najznakomitszych fizyków niemieckich Max Planck i na audyencji zaznaczył mu, że brak poszanowania dla nauki a umiłowanie dla marszów, parad i t. p. musi wywołać najfatalniejsze skutki także i dla rozwoju tej nauki, którą on reprezentuje, t.j. fizyki teoretycznej, odpowiedzieć mu miał Hitler: „No to w takim razie naród niemiecki będzie sobie musiał dać radę bez fizyki teoretycznej”. Si non e vero... W każdym razie jest to anegdota zgoła symptomatyczna, w niej bowiem przejawia się i ta niechęć do inteligenta i ta nieufność do intelektualizmu. Weszliśmy niewątpliwie w okresie powojennym w fazę większego raczej poszanowania nauk humanistycznych, co i w Polsce odbiło się w poważnej mierze na tonie programów szkolnych.

Przyszła jednak czas automatycznej niejako rehabilitacji inteligencji i nowego odrodzenia intelektualizmu.

Prądy pozytywistyczne występują dziś w różnych ośrodkach, by wskazać w filozofii na t. zw. koło wiedeńskie i zapewne także na t. zw. szkołę warszawską. Kazimierz Ajdukiewicz bardzo trafnie określił charakter dzisiejszego myślenia polskiego mianem: „logistyczny antyirracjonalizm” („Przegląd Filozoficzny” R. 37., r. 1934, str. 399). Ale zejdźmy z tych wyżyn światopoglądowych na realny grunt rzeczywistości. Pokaże się tedy, że w okresie po największym nasileniu kryzysu, który ustępował stopniowo pod wpływem takich czy innych okoliczności w różnych krajach, poprawa konjunktury zaczęła się przyczyniać mimo woli do poprawy sytuacji inteligencji — bynajmniej nie w sensie materialnym. Zaczęto jednak rozumieć, a było to właśnie jedną z nauk kryzysu, że bez bardzo poważnego przygotowania fachowego i znajomości rzeczy nie można się brać do rozwiązywania trudnych i odpowiedzialnych zadań. Niewątpliwie okres kryzysu przyczynił się także i do bujnego rozkwitu znachorstwa w różnych dziedzinach, co jest przecież także tylko objawem prądów irracjonalnych. Ostatecznie jednak pokazało się, że istnieją pewne zasady ogólne i pewne prawidła postępowania, bez których opanowania nie można dać sobie rady. Walka z kryzysem zaostrzyła niewątpliwie zdolność myślenia ekonomicznego i przyczyniła się w niemałym stopniu do zwiększenia poszanowania dla myśli jako takiej. Ma to swoje głębsze znaczenie, że w okresie kryzysu zaczęto tworzyć t. zw. trusty mózgów. Jest to właśnie wynikiem przeświadczenia, że rozumowi przypada rola dominująca w kierowaniu akcją bojową z kryzysem.

Nie mniejszy wpływ na zmianę w poglądach na znaczenie i rolę sił fachowych miała ewolucja polityczna w okresie powojennym, która od wymarzonego rozbrojenia doprowadziła do faktycznego dozbrojenia. Jednym z przejawów niemożności nawiązania ścisłej i pokojowej współpracy międzynarodowej jest także pęd autarkiczny. Jego uzasadnienia nie można szukać tylko w płaszczyźnie gospodarczej. Gospodarka autarkiczna jest nie tylko dlatego gospodarką wojenną, iż przypomina gospodarkę prowadzoną podczas wojny, ale także i dlatego, że wojnę przygotowuje. Wyścig zbrojeń zaczął się dokonywać nie tylko w płaszczyźnie ilościowej, ale i jakościowej. Umysł ludzki podjął i podejmuje coraz to nowe wysiłki w dziedzinie wynalazczości wojskowej. Prowadzona pod hasłem obronności kraju gospodarka autarkiczna stawia wynalazczość przed całym szeregiem niezmiernie skomplikowanych i trudnych zagadnień. Wprowadza to w życie gospodarcze i w rozwój techniki fermenty — chwilowo przynajmniej — ożywcze i oddziaływa na wszystkie gałęzie techniki nawet i te pośrednio tylko związane z prowadzeniem wojny. W państwach, których politykę cechuje pewien dynamizm, wynalazczość ta jest szczególnie żywa, ale

pobudza i inne narody i stawia nauce coraz to nowe zadania. Jest oczywiście z punktu widzenia jakiegoś szczytnego humanitaryzmu rzeczą bezwątpienia pożałowania godną, że chęć i obawa wojny są w poważnej mierze tym motorem, jaki po części ożywia rozwój techniki i gospodarki. Nie mniej jednak z faktem tym należy się liczyć. Niezależnie od tych zjawisk chwilowych, które raczej rytm rozwoju gospodarczego przyspieszają, postępy nauki zwłaszcza organizacji pracy wymagają też coraz to nowych i dobrze przygotowanych sił fachowych, gdyż rutynizm dyplomowanych pracowników już nie wystarcza. Zagadnienie przygotowania więc tych sił staje się dziś aktualne. Jest ono aktualne i w związku z ogólnym przewrotem pojęć w różnych dziedzinach nauk i ze zmianą zapotrzebowania typu sił pracowniczych.

Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że to zapotrzebowanie i ten brak fachowców nie tłumaczy się jedynie i wyłącznie tylko brakiem dopływu sił. Tak jest może w pewnych krajach, ale nie we wszystkich. Tłumaczy on się, jak poprzednio już o tem była mowa, różnorodnością i komplikacją nowych zadań. Tłumaczy on się w dziedzinie techniki ciągłym i stałym postępem zróżnicowania. W całym szeregu dziedzin, jak np. w dziedzinie technologii chemicznej, zagadnienia te stają się coraz trudniejsze i wymagają sił mających przygotowanie techniczne i teoretyczne. Występuje więc w dziedzinie tego, co by nazwać dziś można „nową techniką”, zapotrzebowanie zupełnie innych ludzi. Najwyraźniej właśnie w dziedzinie techniki. Ale nie jest przecież także inaczej i w innych działach. Wyniki osiągnięte w dziedzinie racjonalizacji pracy oddziaływały także na sposób rozwiązywania całego szeregu zagadnień poza techniką i życiem gospodarczym w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Wysunięto ostatnio, nie bez racji, postulat zużytkowania wyników i doświadczeń z zakresu techniki i gospodarki także i w dziedzinie administracji państwa, wychodząc ze słusznego założenia, iż państwo jest w pewnym sensie także przedsiębiorstwem, które winno być administrowane w sposób racjonalny i naukowy. Jest to teza, której broni Zoltan Magyary w swojej książce p. t. „Organizacja władz a zwłaszcza rola szefa rządu w administracji publicznej”, która w przekładzie polskim ukazała się w roku 1937 jako tom I. „Biblioteki Towarzystwa pracy społeczno-gospodarczej”. „Administracja państwowa, — jak zaznacza prezes Br. Helczyński w przedmowie do przekładu tej książki — nie przeszła naogół tej drogi, na którą zmuszone były wkroczyć wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe oraz armie: racjonalnej organizacji i maksymalnej wydajności pracy” Już na tym odcinku widzimy ten tak bardzo charakterystyczny przewrót, jaki się dokonuje. Dawniej, przed wojną, ażeby zająć stanowisko w ad-

ministracji, wystarczyło mieć ukończone studia prawnicze. Później po wojnie, w całym szeregu państw, studia te raczej przeszkadzały i z takich czy z innych powodów wyznaczono na odpowiedzialne stanowiska administracyjne ludzi bez przygotowania fachowego. Obecnie coraz bardziej budzi się świadomość, że konieczne jest właśnie gruntowne przygotowanie nie tylko naukowe, ale i fachowe. Mamy tu niejako klasyczny przykład tego co się dzieje: z jednej strony nadmiar ukończonych prawników z drugiej strony brak odpowiednich ludzi na stanowiska administracyjne. Tłumaczy się to tem, że życie stało się bardziej skomplikowane, a na skutek tego wzmożły się też i wymagania w stosunku do pracowników.

Nie inaczej poniekąd ma się sprawa w zawodzie nauczycielskim. Dawniej wystarczyło jeśli nauczyciel szkoły powszechnej ukończył t. zw. seminarjum a nauczyciel gimnazjum skończył wydział filozoficzny uniwersytetu. Szedł uczyć, praktykował i stabilizował się w zawodzie nauczycielskim. Dziś już to nie wystarcza. Wiedza pedagogiczna i dydaktyczna poczyniła tak wielkie postępy, a wymagania w stosunku do nauczycieli wzrosły na tak dalece, że konieczne jest specjalne studium fachowe. I tak np. we wszystkich niemal krajach rozważa się dziś zagadnienie, w jaki sposób należałoby najlepiej kształcić nauczycieli szkół powszechnych. Nie inaczej ma się sprawa z absolwentami wydziałów filozoficznych, czy też humanistycznych uniwersytetów. Jest ich bardzo wielu, zbyt wielu — ale nie ma wielu dobrych nauczycieli i bardzo o nich trudno. Mało to, że nie ma nauczycieli przygotowanych pod względem dydaktycznym, czy też pedagogicznym do zadań nauczania w szkolnictwie, ale absolwenci uniwersytetów, mając skądinąd wiedzę doskonałą i gruntowną, wykazują właśnie bardzo często luki w zakresie tych przedmiotów, których następnie uczyliby mieli w szkole średniej. Pomiedzy programem studium na wydziałach humanistycznych czy też matematyczno-przyrodniczych (dawnych filozoficznych) a wymaganiami, jakie stawia szkoła — nie w dziedzinie dydaktycznej, lecz czysto naukowej — w stosunku do nauczycieli istnieje poważna przepaść. Dotknęliśmy w ten sposób jednego z bardzo istotnych zagadnień, związanych z kryzysem dzisiejszej inteligencji i z tym rozdźwiękiem, jaki jest pomiędzy dzisiejszym przygotowaniem, uzyskiwanym w szkołach wyższych i to przygotowaniem nawet rzetelnym jednostek wartościowych, a potrzebami życia.

Na szerokiej płaszczyźnie i na pogłębionym tle rozpatruje to zagadnienie wybitny nasz socjolog, pedagog i historyk kultury Bogdan Suchodolski w książce p. t. „Polityka kulturalno-oświatowa w Polsce współczesnej” (Warszawa 1937). Pozwolę sobie zreferować niektóre wywody tej doskonałej książki w związku z omawianą przeze mnie sprawą. B. Suchodolski

rozważa właśnie zagadnienie **polityki** oświatowej, znaczy to kwestii, po jakich drogach ma iść działalność oświatowa, kierowana przez państwo, ażeby przynieść mu najistotniejszą korzyść. Autor wykazuje w swojej książce cały szereg sprzeczności, jakie zachodzą dzisiaj pomiędzy szkołą, a kulturą współczesną. Wskazuje też i omawia obszerniej sprzeczność, jaka zachodzi pomiędzy szkołą dzisiejszą a wykształceniem zawodowym (str. 53 i nast.). Stwierdza więc przede wszystkim to, o czym obszernie tu już była mowa, że postęp we wszystkich dziedzinach jest dzisiaj tak szybki, iż kwalifikacje szkolne są przestarzałe już w momencie opuszczenia murów szkolnych przez wychowanka. Gdyby poprzestał on na tej umiejętności, byłby ostatnim w swym zawodzie. Potrzeba doksztalcenia staje się coraz pilniejsza i coraz ważniejsza. W okresie takim jak nasz — zaznacza B. Suchodolski — „w epoce cywilizacji zmiennej, sztywny i niezmienny zapas umiejętności zdobyty w szkole przestaje być kapitałem, od którego wygodnie można czerpać procent przez całe życie”. W tych warunkach cywilizacyjnych „chwije się — jak wywodził B. Suchodolski — również i druga zasada mitu szkolnego: iż szkoła dostarcza wykształcenia zawodowego, odpowiadającego zapotrzebowaniu konkretnego życia”. Coraz jaskrawiej widzimy rozbieżność między różnorodnymi rodzajami zawodów i sztywnymi schematami szkolnego kształcenia zawodowego. Na różnych stopniach szkolnictwa, aż do uniwersytetów i politechnik, obserwujemy, jak skomplikowane różnorodne i zmienne zapotrzebowania konkretnego życia nie mogą znaleźć odpowiedniego zaspokojenia w przygotowawczej pracy szkolnej”. Słusznie zaznacza dalej B. Suchodolski, że jeszcze bardziej tragiczną jest niewspółmierność w tych zakresach, w których kształcenie szkolne zasadniczo odpowiada potrzebom rynku zawodowego. „Polega ona na tem, iż zasób i struktura otrzymanego w szkole wykształcenia różni się zasadniczo od rodzaju i struktury tej wiedzy, która potrzebna i użyteczna jest w działaniu zawodowym. Młody lekarz i prawnik, młody inżynier i nauczyciel, wychodzący ze szkoły z dyplomem w ręku muszą, wstępując w progi swego warsztatu pracy, dokonać zasadniczego przegrupowania i uzupełnienia wiedzy jaką posiadli. Ogromne partie materiału, wyuczonego z trudem do egzaminów okazują się zupełnie zbędne, jednocześnie coraz jaskrawiej ukazują się wielkie luki, czekające na zapelnienie. Tok pracy na stanowisku objętym przez absolwenta okazuje się zupełnie inny, niż w szkole nauczanie przygotowujące do zawodu”.

Pokazuje się tedy, że kształcenie zawodowe, dokonywane w szkole traci kontakt z życiem.

Wiedza, wyrastająca z praktyki działania, różni się dziś w każdej dzie-

dzinie zawodowej coraz bardziej od tej wiedzy teoretycznej, która miała do niej przygotowywać bezpośrednio, a która usamodzielniała się niemal całkowicie. W konsekwencji wywodów swoich dochodzi B. Suchodolski do przeświadczenia, że coraz większe znaczenie w kształceniu zawodowym zaczyna sobie zyskiwać umiejętnie zorganizowane terminatorstwo. Wypada zaznaczyć, iż przeświadczenie o wartości i znaczeniu tego terminatorstwa nie jest bynajmniej dopiero wynikiem doświadczeń doby ostatniej. Praktyczni i mądrzy Anglicy weszli już od dawna na tę drogę. Wiadomo, że w Anglii prawników i lekarzy nie kształci się w uniwersytetach, ale „w terminie”, t. j. w organizacjach zawodowych, utrzymywanych przez lekarzy i przez palestrę. Istnieje oczywiście w uniwersytecie londyńskim i niektórych innych uniwersytetach angielskich nowego typu szkoła lekarska i szkoła prawnicza. Ale uniwersytet londyński to jest twór nowy, nieodpowiadający zupełnie duchowi anglosaskiemu. Uniwersytety angielskie to są jak wiadomo Oxford i Cambridge. Te zaś uniwersytety dają wykształcenie tylko ogólne. Nie inaczej ma się sprawa w całym szeregu uniwersytetów amerykańskich, choć trzeba przecież liczyć się z tym, że istnieje ogromna mnogość ich typów.

W dyskusji jaka dzisiaj zaczyna się toczyć nad charakterem i przyszłością studiów akademickich, w formach poniekąd mgławicowych kształtuje się pogląd, który najprawdopodobniej prędzej czy później będzie musiał zwyciężyć, który usiłowałem uzasadnić w mojej pracy o szkołach wyższych i akademickich w „Encyklopedii Wychowawczej”. Tendencja do uczynienia z tych szkół, szkół zawodowych w świetle wyżej przedstawionych wywodów coraz bardziej zanika. Mogą one dawać tylko ogólne podstawy i wytyczne wykształcenia zawodowego. Mogą one tylko uczyć myśleć w tym kierunku w jakim dana jednostka w przyszłości pragnie pracować. Studium akademickie musi oczywiście dawać zasób pewnej wiedzy podstawowej do wykonania zawodu. Ale jego głównym celem jest przysposobienie w kierunku samodzielnego a nawet twórczego myślenia w zakresie danej specjalności, a więc myślenia prawniczego, technicznego, historycznego i t. p. Mogą oczywiście istnieć też szkoły zawodowe, któreby ich absolwentom dawały w danej ściśle określonej dziedzinie względnie pełny zasób wiedzy fachowej. Jednak doświadczenie pokazuje, że im wykształcenie jest ogólniejsze i w tych ogólnych podstawach gruntowniejsze, tembardziej przysposabia później jednostkę do pracy fachowej i zawodowej. Nauczy ją bowiem rozumieć problematy, widzieć je i dawać sobie radę z ich rozwiązywaniem. Wkuwanie zaś wiedzy fachowej, która po kilku latach już okazać się może przebrzmiałą i przestarzałą, daje zazwyczaj wyniki bardzo zwodnicze.

Można śmiało zaryzykować paradoksalne twierdzenie, że im mniej fachowy jest charakter szkół akademickich, tembardziej mogą one kształcić dobrze przygotowanych fachowców.

Wypowiedziany tutaj postulat nie odnosi się bynajmniej tylko do uniwersytetów. W lipcu roku 1937 obradowała w Paryżu Międzynarodowa Konferencja Studiów Akademickich zorganizowana przez L'Institut International de Coopération Intellectuelle, w której brałem udział jako jeden z delegatów Polski. Przedstawiciel nauk technicznych jeden z najgruntowniejszych znawców przedmiotu, prof. dr. Artur Rohn z Zurychu, w swoich bardzo ciekawych wywodach na temat szkół politechnicznych podkreślił ze szczególnym naciskiem potrzebę pielęgnowania także i czystej wiedzy w szkołach politechnicznych. W toku dyskusji wyrażono przekonanie o potrzebie najściślejszej współpracy pomiędzy szkołami politechnicznymi, a uniwersytetami. Nie brak było też głosów za złączeniem szkół politechnicznych z uniwersytetami. Przejawiła się przytem właśnie raczej tendencja nadania szkołom politechnicznym możliwie charakteru naukowego, a więc akademickiego, aniżeli zbliżenia studiów uniwersyteckich do typu szkolnictwa zawodowego (w obronie czego występuje np. prof. Stefan Kołaczkowski z Uniw. Jagiel. w rozprawie p. t. „Kryzys studiów uniwersyteckich i próby rozwiązania kolizyj” w wydawnictwie „Kultura i nauka”, Warszawa 1937).

Podejmowane ostatnio w Polsce wysiłki, ażeby szkołę akademicką uczynić bardziej szkołą niż nią była dotychczas, wydaje się, w bardzo poważnej mierze zawiodły.

O cóż tu chodziło? Stwierdzono, że stosunkowo mały procent studentów wstępujących do szkół akademickich kończy je. Zaczęto przypuszczać, że powodem takiego stanu rzeczy jest fakt, że młodzież ta, przynajmniej na niektórych wydziałach, ma zawiele pozostawionej sobie swobody. Znaczy to, że ma tylko albo jeden egzamin końcowy, czyli t. zw. dyplomowy, albo tylko jeszcze t. zw. półdyplom, czyli egzamin w środku studiów. Otóż uznano, że to jest wadliwy tok studiów i że należy studentów od samego początku brać w tryby maszyny egzaminacyjnej. Na skutek wprowadzenia systemu t. zw. egzaminów magisterskich na całym szeregu wydziałów, zmienił się bardzo zasadniczo charakter pracy w uniwersytecie. Przestał on być studium, a stał się właściwie jednym pasmem przygotowywania się do egzaminów i zdawania egzaminów. Profesorom zaś w tym systemie przypadło główne zadanie wykładania — lub pisania podręczników — i egzaminowania. Przestrzegałem odrazu przed zgubnymi skutkami tego systemu („Przegląd Współczesny” Nr. 60 z kwietnia 1927 r.) i wykazałem jego szkodliwy wpływ w rozprawie p. t. „Cele i zadania szkół

akademickich w Polsce" („Przegląd Współczesny" Nr 108 z kwietnia 1931). Dzisiaj już nie ulega żadnej wątpliwości, że system ten przyczynić się może do tego, iż większa ilość dyplomowanych — przeważnie miernot — opuszcza szkoły akademickie, ale poziom tych dyplomowanych jest bardzo niski. Próba regulowania na tej drodze dopływu sił wykwalifikowanych do społeczeństwa zawiodła. Siły dyplomowane a kwalifikowane to nie jest jednak to samo, jak to właśnie na owej międzynarodowej konferencji zaznaczyłem w dyskusji.

Dochodzimy tutaj do pewnego zagadnienia o kapitalnym dziś znaczeniu, a mianowicie zagadnienia tego, co by nazwać można planową gospodarką zawodową.

Zaspokojenie tego zapotrzebowania, jakie państwo wykazuje w danym okresie czasu w dziedzinie zawodowej, może być, teoretycznie stawiając sprawę, regulowane na dwa sposoby względnie wedle dwóch metod. Regulować je przede wszystkim musi i powinna odpowiednia selekcja. Jest to zagadnienie bardzo istotne i skomplikowane, które oświetla ostatnio G. Ichheiser w swojej pracy p. t. „Zagadnienie selekcji zawodowych" (Warszawa 1937. Instytut Spraw Społecznych. Sprawy rynku pracy i bezrobocia). Pragnę zwrócić uwagę na pierwszy rozdział pracy G. Ichheisera p. t. „Rozważania wstępne". W rozdziale tym, Ichheiser przypomina, że zagadnienie procesów selekcyjnych ma dwie strony, psychologiczną i socjologiczną. Procesy selekcyjne stanowią z punktu widzenia socjologicznego niewątpliwie ośrodek całego życia społecznego, z punktu widzenia zaś psychologicznego kształtuje zaszeregowanie zawodowe strukturę psychiczną odnośnych jednostek w bardzo dużej mierze. Ichheiser zwalcza bardzo rozpowszechniony, a zdaniem jego całkiem błędny pogląd, jakoby zachodziła, jakaś, przynajmniej w zasadzie ustalona i zagwarantowana, współzależność między zróżnicowaniem i rozsianiem placówek zawodowych w społecznym środowisku, a psychofizycznym zróżnicowaniem jednostek, działających w nim. Uważa on, że pogląd ten jest podstawową częścią składową liberalistycznego poglądu na sprawę selekcji społecznych, poglądu, który „nie będąc już całkiem prawdziwy, w czasie najwyższego rozkwitu liberalizmu, stał się w dobie obecnej przebudowy społecznej absurdalnym schematem, utrudniającym tylko zorientowanie się w istniejącym stanie rzeczy i uniemożliwiającym dostosowanie się jednostek do nieodzownych wymagań współczesnego życia. Pogląd ten każe wierzyć, że jednostki powinny postępować tylko stosownie do swych indywidualnych celów czy interesów, całokształt zaś życia społecznego ułożyć na podstawie tych indywidualnych poczynąń, poniekąd „sam przez się i dla ogółu jaknajlepiej". Zdaniem Ichheisera ten liberalistyczny pogląd jakoby

indywidualistyczne mechanizmy prowadziły mechanicznie do społecznego „porządku”, prowadzi w rzeczywistości ostatecznie — do chaosu. Zdaniem jego zróżnicowanie placówek zawodowych jest procesem zależnym przede wszystkim od czynników gospodarczych i technicznych, a próba tłumaczenia tego zróżnicowania zapomocą kategorii psychologicznych byłaby nonsensem. Więc, zawód radiowego technika nie powstał i nie rozpowszechnił się przecież dlatego, że istniały jednostki, posiadające „specyficzne” zdatości do tego zawodu, lecz po pierwsze wskutek technicznego wynalazku, po drugie wskutek ekonomicznych możliwości zużytkowania go.

Ale G. Ichheiser idzie jeszcze dalej, twierdząc, iż fakt, że istnieją pewne zawodowe typy psychiczne, nie jest naogół bynajmniej wynikiem jakiejś pierwotnie istniejącej predyspozycji psychicznej, lecz właśnie wynikiem owego kształtowania osobowości przez odnośne zawody. Niewątpliwie i zawód kształtuje psychikę, ale i psychika predysponuje kogoś do takiego czy innego zawodu. Ichheiser natomiast uważa, że adwokaci lub oficerowie, robotnicy lub kupcy istnieją jako specyficzne typy psychiczne, przede wszystkim dlatego, że odnośne zawody, wymagające pewnej działalności, urabiają na tej drodze pośrednio pewne typy psychiki, które nie są ich podłożem, lecz przeciwnie — ich tworem. Warto nadto jeszcze zwrócić uwagę odnośnie do wywodów Ichheisera — na ważne odróżnienie, które czyni on pomiędzy „normami selekcyjnymi”, a „mechanizmem procesów selekcyjnych”. W każdym społeczeństwie panują pewne postulaty i wartościowania, które oznaczają w jaki sposób procesy selekcyjne powinny się odbywać. Charakterystyczną dla społeczeństwa w okresie ideologii liberalistycznej jest zasada „osobistego wyczynu”, a więc zasada, iż procesy selekcyjne powinny odbywać się w ten sposób, by osobiste kwalifikacje i wyczyny — i tylko one, decydowały o szansach życiowych jednostki. Natomiast co innego jest mechanizm selekcyjny, który w danym społeczeństwie rzeczywiście panuje. Dopiero analiza tych faktycznych mechanizmów stwarza możliwość zrozumienia danej społecznej rzeczywistości.

To rozróżnienie i rzut oka na rzeczywiste mechanizmy selekcyjne pozwala nam stwierdzić, iż w niektórych społeczeństwach funkcjonują one istotnie nienagannie i dosłownie mechanicznie. Dzieje się to więc w społeczeństwach, rządzonych przeważnie przez dyktatorów, w których jesteśmy świadkami czegoś, co zasługuje na nazwę planowej gospodarki materiałem ludzkim. Więc tak jest w Sowietach i wolno przypuszczać, że po tej drodze pójdą Niemcy wobec braku inżynierów. Tu należy zaznaczyć, że

co innego jest wpływ czynników ekonomicznych i technicznych na zagadnienie selekcji, wpływ wyrażający się w powstawaniu i tworzeniu się nowych możliwości, a co innego jest kierowanie selekcją zawodową z góry, w związku z takim czy innym kursem na takim czy innym odcinku polityki. Jak we wszystkich dziedzinach, dotyczących dzisiejszej kultury, tak i w tej przebija się sprzeczność pomiędzy indywidualistycznym ujęciem, charakterystycznym dla ery liberalnej, a kolektywistycznym ujęciem, a więc ujęciem patrzącym na jednostkę tylko jako na część społeczności i poddającym ją postulatом interesów i potrzeb społeczności. W związku z zagadnieniem przyszłości młodzieży studiującej z jednej strony, a z drugiej strony z zagadnieniem zapotrzebowania pewnych sił przez społeczeństwo i państwo było to zagadnienie ostatnio dość żywo dyskutowane, przyczem oczywiście starły się i w tej dziedzinie poglądy rzeczników gospodarki liberalnej i gospodarki raczej planowej. Fakt, że pomiędzy zróżnicowaniem stale postępującym placówek zawodowych z jednej strony, z zróżnicowaniem jednostek i ich zawodowo istotnych właściwości psychofizycznych, nie istnieje żadna ustalona i społecznie zagwarantowana harmonia, określa — zdaniem Ichheisera — nieprzekraczalną granicę wszelkich praktycznych planowych zabiegów w tej dziedzinie.

Można tylko w bardzo szczupłych granicach prowadzić tego typu t. zw. planową gospodarkę. Można więc np. młodego lekarza pchnąć ku pewnej specjalności, o ile w kierunku innej nie wykazuje szczególnego uzdolnienia, czy też zainteresowania. Można młodego prawnika skierować ku takiej czy innej gałęzi prawa, w której akurat dają się odczuwać jakieś przykre luki. Wszelako już tego rodzaju regulowanie dopływu sił, że stwarza się takie czy inne przywileje dla studiujących te czy inne przedmioty nie daje naogół rezultatów pożądaných. I dlatego to w dyskusji tego tak istotnego problemu przeważa dziś raczej tendencja liberalna, licząca się z indywidualnością młodego umysłu i z jego skłonnościami. Oczywiście są młodzi ludzie bez skłonności i bez zamiłowań. Ci naturalnie najlepiej zrobiliby, gdyby nie studiowali wcale. Ale ostatecznie obojętne jest, co będą studiować. Trzeba się liczyć z tem, że, im wyższy poziom studiów, tem mniej możliwa jest tego typu planowa gospodarka. Więc oczywiście można tak planować przyływ czy odpływ robotników, majstrów w zakresie takiego lub innego rzemiosła, choć przecież i tu już ważną rolę odgrywa cały szereg t. zw. wrodzonych czynników psychicznych. Jednak planowanie w dziedzinie dopływu materiału ludzi z wykształceniem akademickim da się osiągnąć tylko w bardzo ograniczonym rozmiarze. Wielokrotnie pokazało się, jak ludzie, którzy dla kariery wybierali zawód, nieodpowiadający ich przygotowaniu duchowemu i umysłowemu, nie spełniali należycie

swoich zadań. Można natomiast planować tylko w tym zakresie, że ułatwia się studiującym dany przedmiot w taki czy w inny sposób przebieg studiów lub też poddaje się go rewizji, gdy okaże się, że tkwią w nim jakieś zasadnicze braki, które utrudniają właśnie normalny czy też pożądany dopływ sił.

Weźmy do ręki bardzo cenne wydawnictwo, a mianowicie „Prace Referatu Statystycznego” Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Ukazała się w nich rozprawa dr. Haliny Wittlinowej „Atlas szkolnictwa wyższego” (Warszawa 1937). W tej niezmiernie cennej pracy, która ilustruje wszechstronnie stosunki na naszych wyższych uczelniach, czytamy na str. 2 (Rozdział I. Rozwój ogólny szkolnictwa wyższego): „W okresie 1921/22 — 1935/36 wzrasta liczba słuchaczy wszystkich grup wydziałów w tym najsilniej grupy handlowej, teologicznej, najsłabiej technologicznej. Słaby wzrost liczby słuchaczy technologii zwraca uwagę ze względu na rosnące potrzeby przemysłu. Spadek po roku 1932-33 objął: prawo, nauki polityczne, filozofię, rolnictwo, technologię i handel, nie objął teologii, medycyny i sztuk pięknych”. W wymienionym atlasie zasługuje jeszcze na uwagę jedna pozycja, a mianowicie, dotycząca trwania studiów. Wśród dołączonych do atlasu tablic liczbowych znajduje się jedna (VII), rozpatrująca dyplomy wydane w roku 1933/34 według liczby lat studiów. Otóż pokazuje się, że inżynierię ukończył w politechnice warszawskiej po czterech latach studiów jeden student, po pięciu 21, po sześciu 23, po więcej niż dziewięciu latach 57. Analogicznie przedstawia się sprawa na wszystkich wydziałach politechnicznych. A więc np. mechanikę i elektrotechnikę ukończyło na politechnikach polskich po czterech latach 1 student, po pięciu 10, zaś po więcej niż dziesięciu latach 91. Tu niewątpliwie coś jest nie w porządku. Na jeden z czynników zwraca właśnie uwagę H. Wittlinowa na str. 31 swojego atlasu. Czytamy tam: „Największy stosunkowo odsetek słuchaczy, utrzymujących się z własnych zarobków, przypada z pośród poszczególnych uczelni na Wolną Wszechnicę Polską w Warszawie i w Łodzi, na Szkołę Nauk Politycznych w Warszawie i na Szkołę Nauk Politycznych w Wilnie. Zwrócić jednak należy uwagę na to, że wymienione uczelnie — głównie przez wprowadzenie wyłącznie popołudniowych zajęć — przystosowały organizację nauczania do potrzeb młodzieży zarobkującej. Powstaje kwestja, czy nie byłoby wskazane, ze względu na duży odsetek młodzieży zarobkującej, zastosować podobny system nauczania, chociaż częściowo na innych również uczelniach i wydziałach”. Wprowadzenie podobnego systemu byłoby zapewne jednym ze środków ułatwiających młodzieży studium.

Zagadnienie bezrobocia wśród inteligencji pracującej, a zwłaszcza za-

gadnienie życiowych szans i przyszłości młodzieży, która kończy studia akademickie nie przestaje być aktualne. Wspomniana międzynarodowa konferencja paryska zajmowała się też zagadnieniem bezrobocia wśród inteligencji, t. j. trudnością uzyskania stanowisk przez ludzi, którzy kończą studia z dyplomami. Istnieje także i w Polsce zbiór prac p. t. „Materiały Komisji Studiów Tow. Przyjaciół Młodzieży Akademickiej”. I z tych materiałów wynika jasno, że stoimy w Polsce wobec pewnej groźnej a nawet tragicznej dysproporcji. Tysiące młodzieży kończącej studia akademickie pozostaje bez zajęć i nawet bez nadziei otrzymania ich — tysiące posad i stanowisk wakuje w Polsce, względnie tysiące z nich jest obsadzonych niewłaściwie i nieodpowiednio. Stwierdza to między innymi w I zeszycie wspomnianych „Materiałów” Adam Piasecki. Podobnie sprawa przedstawia się przecież i w innych krajach.

Gdzie szukać źródeł tej tragicznej dysproporcji? Czy tylko w tym, że młodzież wybiera studia, które nie dają żadnych szans uzyskania posad?

Zapewne po części tak jest. Ale tylko po części. Główną przyczynę zła i tej fatalnej dysproporcji upatrywać raczej należy w objawach innych. Najważniejszą zaś z nich i kapitałną jest ta, że kształcona wedle wzorów przeważnie jeszcze przedwojennych dyplomowana t. zw. inteligencja nie odpowiada trudnym i skomplikowanym zagadnieniom i zadaniom życia dzisiejszego. To co przed wojną i długi czas jeszcze po wojnie uchodziło za warstwę społeczną zwaną inteligencją, sproletaryzowało się, nie tyle w sensie społecznym, ile raczej intelektualnym. Ten system uzyskiwania dyplomów i wchodzenia przez nie do pewnej warstwy nie daje dzisiaj już tych szans jednostkom i nie daje też pożytku społeczeństwom i państwom. Życie dzisiejsze wymaga innego typu człowieka i innego typu fachowego przygotowania na tle gruntownego akademickiego wykształcenia. Wymaga najprawdopodobniej dwu warstw zamiast tej dawniejszej jednej. A więc przede wszystkim warstwy twórczych i samodzielnie myślących jednostek z inicjatywą, które są w stanie myśłą swoją ogarnąć dzisiejszy szybki rozwój i postęp nauki i dostosować się do ciągłej zmiany warunków w tym okresie szukania równowagi, w jakim dziś najniżej i najmniej znajdujemy się. Wymaga też pewnej warstwy niższej ludzi jednak fachowo wykształconych i wyrobionych, jednostek odpowiedzialnych za pracę w kręgu sobie powierzonym i wyznaczonym, za pracę o typie raczej wykonawczym, wymagającym wielkiej punktualności i akuracności. Naogół we wszystkich dziedzinach, zwłaszcza w Polsce, istnieje jakiś typ pośredni. Nie udało się jeszcze pokonać różnych tradycyjnych nawyków w szukaniu dróg kształcenia się i przygotowania do zawodu. Uważa się np. ciągle jeszcze studia akademickie i konieczność uzyskania dyplomu za

75.  
1783/1884

pewien warunek szans życiowych, podczas, gdy przeważnie w dzisiejszej rzeczywistości dać on już może tylko szanse jednostce naprawdę wybitnej. Z tym łączy się oczywiście sprawa nieprawdopodobnego i nieproduktywnego marnowania niewłaściwie użytych pieniędzy na cele oświatowe.

Zagadnienia tu poruszane wchodzą w znacznej części w zakres nauki, która zaczęła się krystalizować już w okresie przedwojennym, a mianowicie t. zw. socjologii nauki. Dziś przed tą dyscypliną otwierają się szczególnie rozległe horoskopy i wysuwa się jako jej zagadnienie czołowe pytanie: jak uzgodnić w psychice indywidualnej i w strukturze społecznej widoczny dziś pęd rozwoju i postępu nauki z jednej strony, a komplikacji sytuacji życiowych z drugiej strony, by wreszcie osiągnąć tę równowagę, ku której kultura wieku XX na wszystkich odcinkach swoich najwidoczniej dziś zmierza.

---



46874/  
12